Nr. 33. We Lwowie dnia 15. sierpnia 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z dziejów poezji polskiej.

I.

Kto przezierał życiorysy Mickiewicza, Słowackiego i in., ten nie mógł nie zwrócić uwagi na zjawisko, że koło nich w młodości iskrzyło się od talentów, zdolności literackich, a zwłaszcza od zapału do pisania; kto miał pióro w ręku pisał wiersze, — dobrze czy źle, to inna sprawa, — ale uważał sobie za chlubę pisanie, a stanowisko pisarza poczytywał za najwyższy szczebel społeczny. Koło Mickiewicza np. trudno nam dojrzeć gołem okiem gwiazd drobniejszych, lecz kto przejrzy roczniki czasopism wileńskich z jego czasów uniwersyteckich, ten z łatwością naliczy setkę nazwisk młodych ludzi, którzy wówczas próbowali w druku swoich sił poetyckich. W stosunku do tego, co ginęło w rękopisach, była to mniejsza cząstka produkcji ogólnej.

Siecią, która wydobywała z głębi społeczeństwa wraz z masą drobiazgu i śmiecia wielkie skarby twórcze, było rozwinięte odniedawna szkolnictwo.

W normalnie rozwijającem się społeczeństwie niema lepszego wymiernika dążeń umysłowych wieku nad program szkolny. Zawarte w nim idee, określające cel, kierunek i zadania oświaty, są tem zerem w termometrze cywilizacji, urzędowo aprobowanem, poniżej którego i powyżej notować można poziom umysłowości społeczeństwa.

Program szkolny, sformułowany przez Komisję edukacyjną, na którym kształcili się nasi poeci plejady litewskiej i ukraińskiej, był wytworem życia umysłowego poprzednich pokoleń, wypadkową dwóch prądów cywilizacyjnych, które się ścierały w społeczeństwie naszem od połowy XVIII w. Walka tych prądów zaznaczyła się we wszystkich dziedzinach życia społecznego, w literaturze, nawet w obyczajach, lecz z natury rzeczy starcie decydujące odbyć się musiało na polu szkolnictwa. Na tem polu skupiała się uwaga przodujących obywateli i rządu; tutaj legł zwalczony scholastycyzm, oddając sztandar wychowania publicznego w ręce zwolenników racjonalizmu. Można powiedzieć, że program szkoły średniej w okręgu Wileńskim z początku naszego stulecia był traktatem pokojowym, w którym dwie walczące cywilizacje spisały punkty ugodowe, oparte na wzajemnych ustępstwach.

Jedną z tych cywilizacji była ta, którą społeczeństwo polskie odziedziczyło po stuleciu XVII, więc cywilizacja chora, bo tlejąca w chorym organizmie politycznym. Odkąd w ustroju i funkcjach społeczeństwa zaszły zmiany patologiczne, życie umysłowe w Polsce, tak świetne w wieku XVI, po tym okresie rozwoju dążyło stopniowo do zaniku. Nie podejmiemy tutaj szczegółowej charakterystyki owego rozkładu politycznego Polski XVII w., dość będzie, jeśli sumarycznie zaznaczymy, że główną przyczyną jego był wadliwy ustrój społeczno-ekonomiczny, dzięki któremu mniejszość ludności mogła zawładnąć sterem społeczeństwa. Do tego steru stanęła szlachta całą masą, upojona poczuciem swojej siły, lecz w tem upojeniu tracąca zmysł polityczny, utożsamiająca dobro swego stanu z dobrem państwa.

W takich warunkach nie mogło być mowy o rozwoju kultury. Społeczeństwo zerwało z cywilizacją europejską, zaufane we własne siły, i kostniało w zastoju kastowym.

Kultura duchowa, zwłaszcza owo wytwarzanie w szkołach sił cywilizacyjnych pozostawało niepodzielnie pod pieczą duchowieństwa. Polska w XVIII stul. dźwigała na swej ziemi około 600 klasztorów. Naogół kleru było pewno więcej, niż wojska, ofiarność zaś na kościoły i klasztory była nierównie większa, niż na potrzeby państwa. Pierwiastek religijny, w porównaniu z zasobami intelektualnemi społeczeństwa niezwykle wygórowany, wzrastał w ciągu XVII w. w odwrotnym do tych zasobów stosunku. Na czele duchowieństwa stał zakon jezuitów, armja bojowa Rzymu, kosmopolityczna, mająca na widoku tylko dobro kościoła. W społeczeństwie zdrowem i ten czynnik mógłby być użytym bez wielkiej szkody; całą Europę duchowieństwo trzymało wtedy na obroku duchowym, w całej Polsce do w. XVI było czynnikiem cywilizacyjnym i niemałe na polu oświaty położyło zasługi. Jezuici trzymali prym w wychowaniu publicznem, dzieląc pracę na tem polu z zakonami Pijarów, Bazyljanów, Teatynów i in. Jako wychowawcy okazali niepospolitą zdolność przystosowywania się do stosunków społeczeństwa szlacheckiego. Stworzyli typ szkoły pod względem naukowym i obyczajowym tak dobrze dopasowany do wymagań życia, jakby ich szkoła była wytworem organicznym społeczeństwa wraz z jej Alwarem, Arystotelesem i Tomaszem z Akwinu. W miarę, jak zmniejszały się wymagania szlachty, i szkoła upadała: w XVIII w. sami jezuici tak ulegli ogólnemu zgnuśnieniu, że dali się prześcignąć Pijarom w reformach szkolnych, zastosowanych do nowych potrzeb.

Szkoła średnia do połowy XVIII stulecia była przedewszystkiem uczelnią łaciny. Młodzieniec po wyjściu ze szkoły mówił po łacinie, wiersze nawet mógł składać w tym języku. Nauki ścisłe stały na ostatnim planie, przyrodnicze nie były wcale uprawiane. O rzeczach krajowych, o tem, co mogło mieć z życiem związek, nie było w szkole mowy: wiadomości z dziejów podawano w świetle korzystnem dla kościoła i zakonu i wogóle na historję nie kładziono nacisku, natomiast teologja, jako matka nauk, zajmowała po łacinie najwybitniejsze miejsce w szkołach średnich, jak i w akademjach.

Trzy akademie nadawały ton umysłowowości całego kraju. W wieku XVIII teorja Kopernika nie była jeszcze przez nie uznaną. Akademja krakowska jeszcze w drugiej połowie tegoż wieku walczy przeciwko wprowadzaniu jakichkolwiek reform do wykładów, a natomiast zajmuje się gorliwie przez 16 lat kanonizacją św. Jana Kantego, która ją kosztuje przeszło miljon złp.

Duch, panujący w szkołach, odpowiadał stosunkom istniejącym w życiu. Szkółki ludowe w XVII w. upadły; w szkołach średnich kształciła się tylko szlachta. Przez odpowiednie do gustu rodziców wychowanie dziecka szkoła *resp.* zakon, pragnął się wkupić do łask jego rodziców lub dobrodziejów zakładu. Schlebiano wychowańcom, uczono ich schlebiać możnym; wpajano zasady arystokratyczne, pogardę dla innych stanów, dla jednostek uboższych, czemu sprzyjał arystokratyczny charakter konwiktów. System kar cielesnych, po barbarzyńsku stosowany do uczniów, działał tem bardziej demoralizująco, że w pewnych razach do wymierzania plag powoływano wyróżniających się w klasie uczniów. Szkoła w XVII i początkach XVIII wieku wkorzeniała w młode umysły to wszystko, co w życiu sprzyjało rozkładowi społeczeństwa, cofaniu się wstecz umysłowości. Wykształcenie filozoficzne, w szkołach otrzymywane, nie stało bynajmniej w sprzeczności z wierzeniami mas ludowych i szlachty, obarczających sądy ściganiem czarownic; wykształcenie to w stosunku prostym wiąże się z literaturą filozoficzną takich mędrców XVIII w. jak ks. Chmielowski, autor „Nowych Aten“ (1745), lub ks. Pikulski (1763 „Sukces Świata...), pracujących z powagą w 200 lat po śmierci Kopernika nad biograficznemi szczegółami Adama i Ewy, lub z naiwnością barbarzyńcy polemizujących z Kopernikiem.

W czasach kultu bezwzględnego dla siły, reprezentowanej przez magnatów i ich stronnictwa, i piśmiennictwo przybrać musiało odpowiedni charakter. Okres ten istotnie zwaćby można, używając określenia Kołłątaja, okresem dedykacji, nie dzieł. Pochlebstwo, podnoszące głównie znakomitość pochodzenia rodowego osób wpływowych, stanowiło treść panegiryków, uważanych za najwyższy rodzaj twórczości literackiej. Umiejętność rymotwórcza, szczyt wykształcenia szkolnego, dostępna była garstce wybranych, lecz każdy szlachcic, jeśli niechciał uchodzić za nieuka, musiał wynieść ze szkoły uzdolnienia krasomówcze. W ówczesnych urządzeniach republikańskich zdolność pięknego mówienia była dla każdego darem nieoszacowanym; gadulstwo i swada więcej znaczyły, niż rozum polityczny. Krasomóstwo weszło w modę i nałóg; posługiwano się tem, nietylko w życiu publicznem, lecz i prywatnem, a zadaniem teoretyków było wymyślеć tyle gatunków wymowy, ile wymagała rożnorodność potrzeb.

Według Starowolskiego „nie może w Polsce zwać się obywatelem, a nawet (śmiem rzec) Polakiem, kto nie umie pięknie a ozdobnie mówić o jakimkolwiek przedmiocie, nietylko po łacinie, ale i w języku ojczystym“.

Ściśle z tem wiązała się potrzeba władania językiem łacińskim. Wszedł on w modę; nietylko w piśmiennictwie zajął miejsce języka rodowitego, lecz i w życiu potocznem szlachcic szczęśliwy był nim się popisywać.

W istocie znajomość łaciny w życiu była nieodzownie potrzebną. Gdyby nie ta potrzeba, kto wie, czy szkoły w XVII w. miałyby rację bytu, a zwłaszcza czy uczęszczałby ktokolwiek do klas wyższych Jeżeli piśmiennictwo całkiem nie upadło, jeżeli istniała produkcja mów i panegiryków łacińskich, to tylko dlatego, że młodzież musiała dla poznania łaciny w życiu potrzebnej, ślęczeć nad wzorami literatury klasycznej. Europa cała do w. XVII posługiwała się łaciną. Był to język cywilizacji rzymskiej, skuwający różne narodowości w jedno wielkie społeczeństwo kościoła katolickiego. Szkoły zakonne, po świecie rozsypane, były kuźnicami, dostarczającemi tego spoidła. Emancypowanie języka lokalnego na użytek cywilizacyjny w oczach reakcji katolickiej było zrywaniem zależności duchowej od kościoła. Do odwiecznych zadań kościoła i szkół duchowych należało uczynić język ten nieodzownym w życiu. U nas łacina stała się językiem urzędów państwowych. Ktokolwiek chciał być świadomym swych przywilejów, nadań, praw zeznanych w sądach, przysługujących mu z ustawodawstwa ogólnego, musiał znać ten język; znajomość ta była tem konieczniejszą dla każdego, kto szukać chciał karjery w służbie państwowej, nie mówiąc o tem, że za dobrą karjerę uważano służbę w kościele, gdzie łacina była specjalnością.

Nadawano też łacinie znaczenie cywilizacyjne, mianowicie znaczenie języka międzynarodowego w nauce i literaturze. Wyrobiło się przekonanie, że jedynie łacina nadaje się do użytku nauki i twórczości poetyckiej: pisarz łaciński czytany jest przez całą Europę, po polsku piszący zginie nieznany nikomu. Znakomity jezuita, Poczobut, jeszcze w XIX. stuleciu zżymał się na wprowadzenie do literatury języka polskiego. Ko zna — pytał — Górnickich, Kochanowskich, Naruszewiczów? „A Sarbiewskiego wszyscy zagraniczni sadzą obok z Horacym“. Radzi więc nietylko nie zarzucać łaciny, ale co jest dobrego w literaturze polskiej tłómaczyć na łacinę.

Łacina upowszechnia się w Polsce, jako język sfer zbliżonych do tronu, także i dlatego, że sprowadzeni na tron cudzoziemcy w w. XVI. i XVII., nie znają języka polskiego, otoczenie zaś — języków nowożytnych obcych. Naogół jednak łacina w szkole reprezentowała wpływ duchowieństwa, utrzymującego społeczeństwo wszelkiemi siłami w karbach reakcji i w odosobnieniu od wszystkiego, coby mogło sprzyjać emancypowaniu społeczeństwa z pod opieki kościoła. Dla tego uczniowie chowani byli w niewiadomości co do najistotniejszych zagadnień myśli, najżywotniejszych potrzeb społeczeństwa; ukrywano przed nimi nietylko wszelką myśl filozoficzną, zdolną pobudzić do samodzielnego szukania prawdy, lecz nie zaznajamiano ich z dziejami, literaturą własną i sprawami krajowemi, aby nie osłabiać ich łączności z idealną ojczyzną rzymską. Sztuczne podtrzymywanie źle zrozumianej łączności, wbrew interesom kultury lokalnej, odbywało się kosztem niesłychanego osłabienia sił intektualnych w społeczeństwie i zaniku piśmiennictwa.

Można było z góry przewidzieć, że gdy nastanie chwila upamiętania i społeczeństwo zechce wejść na drogę odrodzenia narodowego, wtedy zwróci się ono przeciwko programowi szkolnemu, aby odzyskać młode pokolenie dla swoich własnych celów. Program ten zaatakowany będzie w dwóch punktach głównych: 1) w kierunku zastąpienia wykształcenia teologiczno-scholastycznego nauczaniem umiejętności ścisłych, przyrodniczych oraz etyki racjonalnej; będzie to wymaganie, postawione przez ogólny prąd umysłowy cywilizacji zachodniej; 2) w kierunku unarodowienia edukacji przez zastosowanie jej do potrzeb kultury miejscowej. Tutaj chodzić będzie przedewszystkiem o wyrugowanie łaciny, jako języka wykładowego i o nadanie praw należnych językowi własnemu. Zobaczmy, skąd i w jaki sposób do zmian tych przyszło, skąd nadeszła ta druga cywilizacja, która z tamtą miała stoczyć bój zwycięski.

Z „Głosu“. *Zygmunt Wasilewski.*

Ze wspomnień o Jelinku.

„Za Edwardem Jelinkiem“ — pod tym tytułem wyszła w tych czasach w Pradze odbitka z czeskiego „Swietozora“, napisana przez serdecznego przyjaciela Jelinka, a znanego czeskiego literata Adolfa Czernego.

Jelinek — pisze między innemi Czerny — tak zżył się z Polską, że nie możemy pisać o nim, aby w tej chwili ukochane przez niego społeczeństwo nie stanęło nam w pamięci. Wszystko cokolwiek napisał o niem — a co, gdyby zebrać w jedną całość, dałoby miarę jego olbrzymiej pracy w tym kierunku, — pisze dalej Czerny — jest przejęte szczególnem, jemu tylko właściwem uczuciem; Jelinek znał to społeczeństwo, a że je znał, więc musiał kochać; z drugiej strony, pisząc o niem, przedstawiał je tak, że i czytający zmuszeni byli podzielać jego uczucia.

Pisałem, na co patrzyłem i tak, jak jest — mawiał zawsze Jelinek, przytacza słowa przyjaciela Czerny.

W dalszym ciągu wspomnień o Jelinku zwraca uwagę Czerny, że opowiadaniom jego o Polsce i jej społeczeństwie literatura czeska zawdzięcza dział, przedtem zupełnie obcy i nieznany w Czechach.

Forma obrazków i szkiców, wprowadzona przez niego, znalazła dzisiaj wielu naśladowców, twórcą jej pozostanie zawsze Jelinek, bogacący literaturę ojczystą opowiadaniami o naszych ludziach i ziemiach.

Zastanowiwszy się dłużej nad korespondencją i wydawnictwami Jelinka, oraz nad jego zamiłowaniem do szperania w zabytkach i wspomnieniach związanych z naszą przeszłością, przechodzi następnie Czerny do epoki, w której Jelinek wydawał „Sbornik słowiański".

Epoka ta przyniosła mu wiele chwil jasnych, ale i dużo, bardzo dużo goryczy. Nic jednak one nie wpłynęły na zmianę jego poglądów i wierzeń.

Jakże ciekawą jest cała jego korespondencja i jak ciekawe „Pamiętniki", w których, na pięć dni przed zgonem wpisywał jeszcze swoje uwagi!

Czerny, zaprzyjaźniony z Jelinkiem, znał go blizko, o tyle, o ile wogóle cicha i zamknięta w sobie natura umiała nawet przed najbliższymi wyjawiać swe myśli i uczucia.

Z tych zwierzeń przyjaciela o przyjacielu jeszcze droższą, jeszcze wypuklejszą dla nas jest postać Jelinka.

Ze wspomnień tych wieje głęboki smutek, jak smutnem jest rozstanie dwóch pokrewnych sobie duchów. Chociaż w tak bardzo minorowym tonie pisane, jakby elegja prozą, czyta się je szybko, z zajęciem wielkiem i, po przeczytaniu ich, żal za tym, co odszedł, rozjaśnia myśl, iż Jelinek, ten polski literat, jak sam chętnie się nazywał — zostawił tak blizkiego sobie następcę.

Z każdego słowa Czernego przebija wielka cześć dla pamięci przyjaciela i ukochanie jego ideałów.

. . . .

Dowiadujemy się również o aspiracjach Jelinka do zostania pisarzem dramatycznym.

Jakkolwiek komedje jego, wystawione w Narodowym Teatrze 1894 r., przyniosły mu mnóstwo goryczy, o których wspomina nawet w pamiętniku 20. lutego, już bardzo chory pisze jeszcze: „Gdybym tylko odzyskał zdrowie... zaraz zacznę pisać dla teatru... ale to zdrowie"...

Tymczasem, zamiast Teatru Narodowego, inną scenę, wolną od zawiści, pełną niegasnących nigdy blasków, otworzyła przed nim tragedja życia!

Broszurkę o Jelinku zdobią trzy reprodukcje. Z pierwszej spogląda na nas jasna, sympatyczna twarz niezapomnianego Czecha, pogodna, jak czystemi były jego przewodnie ideały.

Fotografia i opis pracowni Jelinka, to jeden rys więcej jego umiłowań.

Czerny wspomina, iż pierwszy dar, jaki otrzymał od Jelinka, to była płaskorzeźba Kraszewskiego. Innym znów razem darował mu obraz Kościuszki, z tem nadmienieniem, aby przyszedłszy do jego mieszkania, mógł zawsze patrzeć na ten obraz.

Ostatni dar, to drobnostka, wyrób zakopiański, których było pełno w mieszkaniu Jelinka; rozmiłowany był w nich formalnie.

Jakże charakterystycznemi są obrazy, zdobiące ściany jego pracowni.

Nad kanapą, pod portretem ukochanej matki i dziadków, jak opisuje Czerny, wisiała wielka zbiorowa fotografia, robiona w Warszawie w r. 1880. Była to ulubiona pamiątka, tem droższa, jak mawiał, że między innymi fotografował się wspólnie z Odyńcem, przyjacielem Mickiewicza. Fotografję tę polecił oddać zaraz po swoim zgonie redakcji „Svetozora".

Nad biurkiem wisiała znów druga zbiorowa fotografia, z podpisem: „Warszawa, Przegląd Tygodniowy 1876—1890", lata, w których Jelinek był stałym współpracownikiem tegoż „Przeglądu"

Reprodukcja z obrazu Kosaka „Malina kochanie, kto ciebie dostanie", wraz z dedykacją malarza i duży portret „Kościuszki", to były obrazy, zdobiące pracownię czeskiego literata i publicysty. A obok tej pracowni był jeszcze mały, bardzo wązki pokoik, zarzucony książkami i pismami, w którym zasnął, ale już na zawsze Edward Jelinek.

Był jeszcze jeden obraz, a raczej kopja w pracowni jego „Śmierć Barbary Radziwiłłówny" która w ostatnich chwilach takie silne robiła na nim wrażenie, że musiano obraz zdjąć, a miejsce próżne inną wielką zastąpić fotografją.

Wspomnienia swoje o Jelinku, Czerny kończy słowami: „Było to piękne, podniosłe bardzo życie, poświęcone jednej ukochanej idei..."

Adolf Czerny ma także swoje ukochane idee. Oddawna pracuje dla pokrewnych nam Serbów łużyckich. Zna ich język tak dobrze i gruntownie, że Serbowie zaliczają go z dumą do swoich literatów i etnografów.

Śliczne są jego przekłady na czeski język pieśni łużyckiego poety Zeilera, ale również pięknie przełożył na łużycki wiele bardzo poe-

zyj genialnego Vrchlickiego. Obszerną pracę Czernego „Istoty mityczne Serbów łużyckich“ w przekładzie Bronisława Grabowskiego, drukowała „Wisła“, z 1890—1897 r.

Adolf Czerny zna bardzo dobrze i kocha nasz język, naszą literaturę i nasze społeczeństwo. Nie tylko mówi, ale i pisze poprawnie po polsku. Nic dziwnego, że nam tak bardzo przypomina Jelinka i że w nim widzimy odbicie jego dążeń i ideałów.

Melania Parczewska.

Z CYKLU: EXOTICA.

BOGOWIE.

(Legenda z wysp Tonga).

Tabu-Hotua, matka osiwiała bogów,
Stała z uśmiechem szczęścia u niebieskich progów,
Patrząc na swoją dziatwę — na młodzież świetlaną,
Co rankiem się jutrzenką stroiła różaną,
A gwiazdy kładła złote wieczorem na skronie —
I radość panowała w pramacierzy łonie
Na widok ich igraszek — i tanów weselnych —
Ich przeczuć, tęsknot, pieśni i snów nieśmiertelnych.

A młodzież się w nieznane wyrywała światy:
Na tych słońcach dalekich jakie kwitną kwiaty?
Jaką rzeką przeznaczeń płynie droga mleczna?
Jaką jest tych błękitów granica odwieczna?
Czy tam może jest innych jakich bogów plemię?
I oto z wyżyn niebios spojrzeli na ziemię —
A wdali zieleniała niedawno stworzona
Ziemia, ujęta w srebrne dwojga mórz ramiona.
I kołysana pieśnią niewidzialnych chórów,
Niby mgła promieniała z nizinnych lazurów.

I mówili młodzieńce boscy i dziewice:
— Patrzcie, jakie tęczowe jaśnieją krynice
W tym świecie oddalonym! jakie piękne gaje!
Jaka wyspa zielona tam na morzu wstaje.
Idźmy tam: kiedy jutrznia zabłyśnie różana,
Usłyszymy, co śpiewa owa mgła nieznana?

Matka, gdy to usłyszy, we łzach dzieci błaga:
— Zostańcie! na nieszczęście wam się ta odwaga
Odwróci!... Tu u matki — tu w niebieskim raju
Czy wam źle, że tęsknicie do niższego kraju?

Ale oni mówili: Matko, puść nas w głębie!
Polecim jako białe wędrowne gołębie —
I wrócim tu do ciebie, nim słońca bóg złoty,
Obwinie czoło w nocy hebanowe sploty.
Puść nas, matko!
Więc matka: Jesteście bogowie,
Nie straszne wam przestworza — ni drobne sitowie —
Ziemia! Ale na wszystkie zaklinam was moce:
Nietykalne niech będą wam ziemi owoce —
Niech ich żadne nie łaknie, żadne ich nie ruszy,
Bo zatracicie cząstkę waszej boskiej duszy —
I już wam brama niebios zamknięta zostanie
I ziemia już wam odtąd będzie za mieszkanie.

Przysięgły matce dzieci, że owoców ziemi
Nie dotkną, choćby usty głodem spieczonemi —
I jak gołębi swawolna gromada,
Chór bogów mknie eterem — i na ziemię spada.

Z mgły wyłoni się wyspa — jakby wymarzona!
Aż-ci gromada bogów stanęła zdumiona.
Bujne, zielone lasy, pełne życia soków —
Szumiały — u przejrzystych, srebrnych fal potoków,
A śród palm kokosowych, wina i daktyli,
Chór ptaków złotobarwnych pieśń rozkoszy kwili!
A na szerokich łanach leciuchnemi stopy
W pocałunkach się gonią młode antylopy,
Albo krokiem poważnym mkną rogate byki,
Szerząc w cichem powietrzu swe weselne ryki.
Jak ptaków i promieni rzęsista ulewa,
Życie tryska i huczy, szumi, dzwoni, śpiewa —
I tylko żadnej duszy boskiej, ni człowieczej
Nie było, by te wszystkie podziwiała rzeczy.
— O, jakie purpurowe, przepyszne granaty!
Unieśmy je pramatce w lazurowe światy —
I z tych palm rozwitnionych zerwijmy owoce
A w niebie im nadamy czarodziejskie moce.

I narwali granatów — kokosów i chleba —
I siedli — bo, choć syny nieśmiertelne nieba,
Znużyli się daleką w nieskończoność drogą —
I pokusom nieznanym oprzeć się nie mogą,
I nie z głodu, lecz nowej ciekawi zagadki,
Zapomnieli bogowie rad swojej pramatki.
Kosztowali — i w ziemskie pochwyceni sidła,
Naraz stracili białe swe gołębie skrzydła —
I zapomnieli światów macierzystych drogi
I zgasła nieśmiertelność ich. I młode bogi
Drżały, czując przemianę, aż naraz nad niemi
Zabrzmiał głos: »Przecz jedliście owoców tej ziemi!
Ziemia owocem swoim przesiąkła wam ducha:
Przeklęty, który matki nakazów nie słucha,
Na wieki zlani z ziemią, na niej zostaniecie;
Zamknięte wam wrzeciądze na niebieskim świecie,
Śmierć czeka was i przyjdzie w przeznaczeń godzinie —
I życie wasze minie, jak fala, co płynie.
Żal wam, żeście złamali klątwę uroczystą,
I będziecie tęsknotą płakali wieczystą
Za niebem, zkąd wygnani jesteście na wieki,
Aż się z niem połączycie w przyszłości dalekiej —
Kiedy w was czar działania zginie ziemskich rzeczy«.

Z wygnanych młodych bogów powstał ród człowieczy —
Ród, który nie zapomniał, że idzie od bogów
I tęskni wiekuiście do niebieskich progów.

A. Lange.

Jak się bawimy u siebie.

(Kartka z życia litewskiego).

(Ciąg dalszy).

Dzielną pomocnicą była młodziutka Tonia jej siostrzyczka która poważna, cicha, krzątała się z miną potulnej myszki, spełniając tysiące drobniejszych dokoła dziatwy zajęć, czuwając nad nią, ratując nieraz w ich rozpaczliwych przygodach wiejskiej kanikuły. Niktby się jednak nie był domyślił. że ta cichutka myszka umiała nieraz w niewidoczny sposób należeć, być nawet inicjatorką najpoważniejszych rozmiarów swawoli i tylko jakiś nagle uzewnętrzniający się wybuch odkrył ten delikatny, z cicha działający motor.

I obecnie końce drugiego stołu, kędy dziatwa zasiadła, był pod wyłącznem opiekuństwem panny Toni i całe to gronko z niezmierną ufnością, z wielkiem przywiązaniem zwracało się co chwila do swej opiekunki, a żaden gest zniecierpliwienia, żadne niedbałe słowo nie wymknęło się z jej ust, chociaż wątpić nie można, że musiała już być należycie utrudzoną.

Lecz jak brzęk złotych pszczół, jak unosząca się w powietrzu woń od pól i sadów bijąca tak brzęczała, unosiła się w powietrzu świetna werwa, niewyczerpany dowcip i humor panny Marji. Śmiech jej perlisty rozbrzmiewał co chwila taką szczerą kaskadą, co to aż za serce chwyta, jej dowcipy i żarty jak świetne race przelatywały i krążyły ponad wszystkiemi stołami, i za nią szły oczy całego towarzystwa, gdzie niebądź w żywych ruchach nie zwróciła się wysoka jej postać, nie błysnął na wierzchu głowy jej piękny warkocz tak płowy, że aż lniano-biały. Nie mając stałego przy żadnym stole miejsca, do każdego przysiadywała się co chwilę, aby przy uważnym na apetyt gości baczeniu podtrzymać i zasilić ogólny nastrój wesołości.

Od chwili jednak, gdy słońce zaczęło spuszczać się za lasy, zauważałam, że panna Marja przybiegała częściej do stołu młodych, coś z nimi szeptała, o coś pytała, i powoli, jedno po drugiem, młodzież od stołu wstawała i biegła na lewe skrzydło domu, gdzie były gościnne pokoje. Gdy zmrok zapadać począł, stół młodych był już zupełnie opustoszony i spokój poważny zapanował wśród starszych na werandzie.

Wówczas, jak ćmy, które po zajściu słońca nagle wysuwają się z jakichś niewidzialnych kryjówek i krążyć poczynają w powietrzu, coraz śmielsze i coraz liczniejsze, tak wśród nas zadźwięczało gdzieś zrazu słówko „u k a z“ potem „p o ś r e d n i k“, potem „p r z e w o d n i c z ą c y s z l a c h t y“ i jedna po drugiej wysuwać się czarne ćmy poczęły i krążyć nad naszemi głowami. Nie mając niczego w „obywatelskim“ żywocie, co byłoby istotnem życiem ruchliwem, myślącem i czynnem, szlachta rozprawia o „ukazach“ i organach wykonawczych i przytem stawia horoskopy na zgadywanego: może dadzą odetchnąć — może mocniej przycisną — może rozkaz będzie taki, może owaki — a nuż, a może...

Nieraz nawet wiodą się żywe spory o to, w jakim kierunku i w jakim stopniu gnębić nas będą, jakiego rozmiaru przygotowują na szyje nasze obroże, w owej wielkiej kuźnicy okowów nad daleką okutą Newą funkcjonującej.

W rogu werandy pan Oprynenko z panem Turczyłłą rozprawiali o serwitutach i wyrąbie lasów.

— Ja na nikogo się nie oglądałem, — mówił pan Oprynenko — a jak trzeba mi było, to wyciąłem kawał lasu i kwita.

— Aha! bo chłopi u pana mają bliższe pastwiska i niewygodnie im pasać bydło aż Bóg wie gdzie, na końcu świata. Czyż ja nie wiem, gdzie pański las, a gdzie wieś? A ja tego zrobić nie mogę; zaraz sąd miałbym na karku.

Pani Hrawicka, (nawiasem mówiąc, najtęższa głowa w tym gronie gospodarzy) wtrąciła z cicha:

— Okropne są te prawa Murawiewowskie! Po tylu latach mamy ustawiczną biedę, która niemniej przecie kamieniem i na Rosjanach ciążyć musi.

— A jakże! — podchwycił pan Jan. Woronów już żałuje, że kupił po Chaleckim dobra; powiada, że tam u nich nad Wołgą podobnych uciążliwości jak n. p. serwituty, z nazwiska nawet nie znają.

— I masz pan zupełną słuszność — mówiła pani Hrawicka do Turczyłły — że nie omijasz prawa. Nie obroniłbyś się pan później kłopotom ani ustawicznym wydatkom. Mam tego dobrą próbę u siebie, chociaż zdaje się zadzierać z ustawami nie życzyłam.

Zwrócili się wszyscy do mówiącej, a ona półgłosem, spokojnie, opowiedziała przykre zajście, jakiego doświadczyła w ostatnich czasach z powodu sprzedaży lasu.

Mając za mało ornej ziemi a zbytek lasów, pragnęła jednę z nich część wytrzebić i zamienić na rolę. Na lasach jej ciążyły serwituty. Ten jednak niewielki ostęp, który wyrąbać chciała, był tak daleko od wsi położony, bo aż za wielkiemi lasami, za jej polami i dworem, że przepęd doń bydła wioskowego obecnie zupełnie był niemożebny, chybaby nową drogę przez dworskie łany przekładać wypadło. Wnosićby można było, że bez uszczerbku dla interesów wsi tym laskiem dziedziczka rozporządzić według woli mogła; i o ile zaskarżeń się nie wniesie, sprawa cichaczem pzzeprowadzić da się. Trzeba było tylko z włościanami zgodnie rzecz omówić. Nie chcąc upokarzać się prośbą, wyczekała cierpliwie chwili, aż chłopi z jakąś prośbą przyszli i za spełnienie jej w zamian zażądała ustąpienia z ich strony praw serwitutowych co do owego lasu. Chłopi bez sporu i z chęcią przystali i zdawało się, że rzecz ułożyła się dobrze i do wyrębu zaraz przystąpić można.

Właśnie też! Przyjechał leśniczy „czlen po krestijańskim diełam“ (członek komisji włościańskiej) zjawił się pisarz włościański, starszyna, i rozpoczęła się cała historja.

Chłopom otwarto oczy na ich krzywdę (dziś mając pastwisk dużo z lasu nie korzystają, ale gdy wieś się rozrośnie, zwiększy się zapotrzebowanie); dalej już włościanie sami wynaleźli jakąś studnię wrzekomo przez dwór zasypaną, na gruntach włościańskich i t. d. i t. d. Sprawa omal do zbrojnego zbiorowiska nie doszła i hałasu we wsi było co niemiara. Obecnie rzecz w zawieszeniu została: prawnie przeprowadzić się nie da, bez olbrzymiej, we trójnasób, rekompensaty włościan: z drugiej strony, ustąpić krzykom nie sposób, aby nie nabrali przekonania, że dwory doszły już do tego, iż liczyć się muszą z każdem ich uroszczeniem.

— Straszna rzecz! — zawołał pan Jan, wysłuchawszy z wielką uwagą całej sprawy — zgnieść nas chcą zupełnie.

— Aby później zduszonych i duszących w jedną obrożę ująć — dodał ktoś jeszcze.

Cisza po tych słowach zapadła: żadne słowo zaprzeczenia nie ozwało się. Pszczółki tylko dokoła miodu brzęczały, jakby mówiły: „to nic, to nic, a my miód swój robimy, to nic, to nic...“

Pani domu szepnęła coś swemu siostrzeńcowi i ten wnet podniósł się od stołu.

Był ociemniały. Mały brał udział w ogólnej rozmowie, na poważnej jego twarzy odbijały się jednak wrażenia nastrojem rozmowy wywołane. Teraz rysy jego przybrały wyraz poważnego smutku; a że miał w ruchach i w grze fizognomji pewną sztywność właściwą ociemniałym, więc gdy powstał tak nagle wśród nas — cichy, zbolały — wydał się mnie uposągowaniem tego ciężkiego, kamieniem zaległego bolu, jaki każdy z nas nosi w swej piersi, a który przy każdem potrąceniu odzywa się i z głębin powstaje.

Dziecię małe, synek ociemniałego, jakby znał swą powinność, ujął rączką dłoń ojca i powiódł go do salonu

Po krótkiej chwili dźwięki fortepianu wypłynęły aż na werandę. Towarzystwo pośpieszyło do salonu, aby posłuchać pięknej gry ociemniałego artysty.

Pogodne zrazu, spiewne i tkliwe brzmiały nuty 15-go Preludjum Szopena, rzekłbyś wieczór, jak dziś jasny i cichy. Zdawało się, że z tych tonów leciał ku nam zapach letnich woni od łąk, od lasów, że kołysał nam duszę lekki szum falujących kłosów, że z niebieskich przestrzeni spływał niewidzialnie zmrok melancholijny i cichy. Słodka tęsknota brzmiała w cudnej pieśni i rozpływała się dokoła falą czystą, rzewną; dusza gotowa była modlić się i płakać.

Złudną jednak była słodycz cichego wieczoru. Bo oto już gdzieś z głębi, zdaleka, ozwał się głuchy łoskot gromu — potem drugi, trzeci — zbliżała się czarna, groźna burza, gromy brzmiały złowieszczo, wciąż bliższe, wciąż straszniejsze.

Nawałnica wybuchła wreszcie w całym groźnym majestacie piorunów, jęków wiatru, plusku ustawicznej ulewy. Niebiosa przepełnione zgrozą i gniewem wstrząsnęły się nad nami; niski, nędzny postrach rozciągnął się po padołach grzesznej ziemi. Lecz na tle wspienionych żywiołów dźwięczała nieumilkła jakaś nutka jedna, jakaś samotna, jakaś przejmująca, ni to prośbą, ni uroczystym hymnem wiary ku zagniewanym niebiosom bijąca.

Przebrzmiała burza; ostatnie spóźnione gromy warczały niekiedy z daleka, a owa nuta wciąż w śpiewnych zwrotach powracała. Aż wreszcie ściszyły się szumy, melodja pierwszej części, łagodna i cicha, znów wypłynęła i kołysała się między rozjaśnionym błękitem i ziemią spłakaną. A tamta nuta brzmiała wciąż nieumilkle, i wzmocniona, bardziej radośna, w cichym tryumfie biła ku wypogodzonym niebiosom.

Kiedyśmy tak zasłuchani łowili uchem ostatnie dźwięki gasnącego Preludjum, otwarły się drzwi od bocznego pokoju i weszła panna Marja. Uroczyście zbliżyła się do ciotki, podała jej ramię z uśmiechem i prowadziła do dalszych pokojów. Było to hasło, za którem podążyliśmy wszyscy. Artysta tylko pozostał

przy fortepianie, wsłuchany jeszcze w ugasłe tony Preludjum, które zapewno w duszy jego dośpiewywały swój wątek.

Nagle otwarły się drzwi przed nami i w fantastycznym blasku bengalskich ogni ukazał się nader udatny a piękny pomysłem żywy obraz.

Na wysokiej podstawie wznosiła się rzeźbiarsko-artystycznie ułożona grupa kilku osób. Nie wiem, coby za nazwę dać jej wypadało — najwłaściwiej chyba: apoteoza Mickiewicza.

Młody Janek, jako trzymający prym wśród goszczącej tu młodzieży w naukach, pięknym kierunku i gorącym patrjotyzmie, słusznie wybrany był na Mickiewicza. W czarnej todze, z poważnem czołem, natchniono wzniesionem, ze szlachetnym gestem wyciągniętego ramienia, sprawiał bardzo dodatnie wrażenie. Po lewej ręce miał urocze, w białych draperjach n a t c h n i e n i e, po prawej postać czarnemi krepami obwitą, wieńcem cierniowym na płaszczu jasnych włosów ukoronowaną. W wyciągniętem, marmurowo białem ramieniu wznosiła ona wieniec laurowy ponad głowę wieszcza, a w oczach smutnych niebieskich, w drobnych rumianych ustach bolesnym ruchem rozchylonych miała tyle uroczystej powagi i bolu, że wszystkich oczy przykuwała do siebie.

Ta postać ukoronowanej cierniem dziewicy, aż nadto łatwo dała nam się domyślać symbolicznego obrazu umęczonej Ojczyzny. Imię to szmerem rozbiegło się wśród widzów i nagle uroczysta cisza zapadła.

U stóp poety grupowały się postacie nieśmiertelnego poematu: więc z uśmiechem poglądająca z za wachlarza z zalotnie przechyloną główką panna Telimena, od pretensjonalnego kostiumu odbijająca miłą dysharmonią swej szesnastoletniej twarzyczki; obok niej uzbrojony w swój róg Wojski, któremu sążniste wąsy dodały brakującej powagi, zaglądająca z boku w swym rucianym wianuszku wdzięczna postać Zosi, dalej ksiądz Robak w olbrzymim kapturze i inne, nie brakło nawet głowy Jankla podniesionej w natchnieniu nad cymbałami.

A ponad tem wszystkiem, po nad samym poetą, nawet już w zieleni tworzących ramy obrazu choinek z pośród jakichś przezroczystych obsłon wychylała się cudna główka z twarzyczką białą, bledziutką, z aksamitnie czarnemi oczyma, z kaskadą czarnych włosów, wciśnięta w dwa anielskie skrzydła bielutkie.

Była to S ł a w a, która zarówno mogła być natchnieniem i pieśnią każdego, zaiste, poety.

(Ciąg dalszy nast.). *W. Dalecka.*

Błędy językowe.

44. *Ograniczyć się*, tak jak płotem, ogrodzeniem, można tylko *czemś* ale nie *na czemś*, albo *do czegoś*. Mówić więc należy: autor ograniczył się *kilku uwagami*, ale nie *na kilku uwagach*, albo *do kilku uwag*. Jest to niemczyzna: sich *auf* etwas beschränken. Nie należy też zapominać o równoznacznych czasownikach: *przestać*, albo *poprzestać na...*

45. Szyk przymiotnika z rzeczownikiem stanowi kamień obrazy w składni polskiej. Panuje u nas ostatniemi czasy zupełne zamieszanie w tym względzie: obok uświęconego wiekami porządku, który wymaga, aby mówiono *ekonomja polityczna*, natrafiamy co krok na szyk przeciwny: *polityczna ekonomja*, *parlamentarny ustrój*, *państwowy czyn*, *narodowa wola*, *muzykalny wieczór*, *publiczny interes*. Na porządek rzeczownikowo-przymiotnikowy istnieją porządnie dotąd niesformułowane, lecz nader subtelne przepisy, które czuć raczej, aniżeli wyrazić można. Podać ich w streszczeniu nie podobna, lecz taką naprędce można dać receptę: pisać tak, jak jest po łacinie i po francusku, ale nie tak, jak się mówi po niemiecku.

Wiadomości bibljograficzne.

Adam Belcikowski. Dramat i komedje. Kraków Nakładem autora 1898. Tom I. Hunyady. Kmita i Bonarówna. Adam Tarło, Król-Donżuan.

Tom II. Nie jesteśmy sobie nic winni. Wizyta pana Feliksa. Dwaj Radziwiłłowie. Franczeska di Rimini. Protegujący i protegowani.

Tom III. Król Mieczysław II. Focjusz.

Tom IV. Król Władysław Warneńczyk. Przysięga. Król Bolesław Śmiały.

Tom V. Jan Sobieski pod Wiedniem. U kolebki narodu. Korona Lechów. Przekupka warszawska.

Encyklopedja Ilustrowana, nakładem Michała Arcta w Warszawie. Zeszyt 21. (Oliwowate — Palenie się).

Nowa Era w Królestwie polskiem (Rządy księcia Imertyńskiego) Kraków 1897. Str. 23.

Z drukarni Z. Golloba.